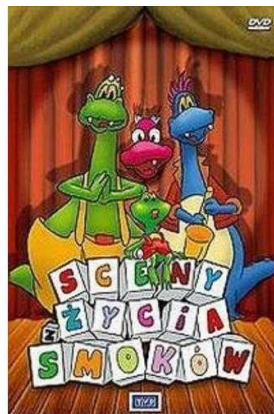


**Beata Krupska**

# **Sceny z życia smoków**



## SCENA PIERWSZA

### W małym lasku spotykamy dwa duże smoki

Pewnego ranka smok Antoni obudził się o dziesiątej, leżał pod dębem i ziewał. Za każdym ziewnięciem sto dwadzieścia trzy liście spadały z drzew. Smok próbował liczyć spadające liście. Ale potrafił liczyć tylko do osiemnastu, wkrótce mu się to znudziło, więc wstał i poszedł na spacer. Po jakimś czasie usłyszał głośnie dudnienie, a z drzew posypał się prawdziwy huragan liści.

Kto tak mocno tupie? - pomyślał smok Antoni. Mama zawsze mi mówiła, że w lesie należy zachować ciszę. Ledwie to pomyślał, gdy spośród drzew wyłonił się drugi smok. Był większy od Antoniego i mocno kulał.

- A! - powiedział Antoni.

- O! - odezwał się drugi smok.

- Z kim mam przyjemność? - Antoni zapytał grzecznie.

- Wincenty Smok - powiedział drugi smok.

- Co za spotkanie! Dwa smoki w jednym lesie! Co za radość! - cieszył się smok Antoni.

- Czy to ty tak głośno tupałeś? - zapytał smok Wincenty Smok.

- Nie, to ty - odparł smok Antoni.

- No tak, to moje biodro sprawia mi kłopot, nawet po tylu latach - westchnął Wincenty.

- Co się stało? Kto śmiał przetrącić biodro tak szlachetnego smoka? - współczuł Antoni.

Wincenty podrapał się po głowie. Głowę miał niewielką i całkiem łysą. Oba smoki były tłuste, z dużymi brzuchami i gdzieś im wyrastały kłaki zielonych włosków, a na brodach miały brodawki. Każdy z nich miał zawieszony na szyi termos z zupą ogórkową.

- Widzisz - zaczął Wincenty - Było to dwieście osiem lat temu, tak mniej więcej na jesieni. Wylegiwałem się w kartoflisku, gdy raptem napadł na mnie rycerz. Taki był ambitny, że nie pytając o nic zaczął ze mną walczyć. To znaczy, ja nie walczyłem, on walczył. Przetrącił mi biodro i chyba by mnie zabił, gdybym nie zaczął udawać martwego smoka. Mam zdolności aktorskie, więc jako martwy smok wyglądałem całkiem przekonująco. No i rycerz pojechał dalej, szukać innych, żywych smoków. Tak... Młody był ten rycerz, taki chłopak. Wołali na niego Jerzy. - Wincenty rozmarzył się trochę, wspominając dawne czasy.

- A wiesz - Antoni chciał pokazać, że też ma co opowiadać. - Tutaj niedaleko mieszka taki stary smok w zamku. Starszy od nas, chodził z moim ojcem do szkoły i razem siedzieli w smoczej ławce. Właśnie on niedawno porwał księżniczkę!!

Wincenty zainteresował się wyraźnie.

- Niemożliwe! Stary smok? Że też mu się jeszcze chciało?

- Tak, tak - Antoni był dumny z siebie. - Tutejsze smoki także bywają dzielne. Ja sam nie bardzo mam się czym pochwalić, ale ja mam dopiero 180 lat. Mam czas, czyż nie?

- A dużo smoków w okolicy? - zapytał Wincenty.

- Bo ja wiem... Oprócz nas i tego na zamku to nie słyszałem o żadnym. Ale gdyby tak dobrze poszukać, to by się coś wygrzebało.

- Chyba tak... - Wincenty najwyraźniej nad czymś się zastanawiał.

- Bo wiesz, przyszło mi do głowy, że można by zagrać w piłkę.

Antoni aż podskoczył do góry, a kiedy opadł na ziemię, trzy pobliskie drzewa zostały zupełnie bez liści.

- No, no! - zawołał - to gramy, chodź!!!

- E, nie we dwóch... sprzeciwił się Wincenty. - Myślałem o meczu. No wiesz, żeby w nogę zagrać.

Antoni zasępił się natychmiast.

- To zupełnie niemożliwe - powiedział. - Skąd weźmiesz dwadzieścia dwa smoki? Coś ty, oszalałeś?

Wincenty uśmiechnął się szeroko.

- Może i oszalałem i nie wiem, skąd wezmę dwadzieścia dwa smoki. Ale tylko pomyśl... Duża, zielona łąka. Z dwóch krańców bramki. Na środku łąki piłka. A na łące... na łące

rozsiane jak kwiaty dwadzieścia dwa smoki...

- A sędzia? - przypomniał sobie Antoni.

Wincenty nie przestawał się uśmiechać.

- Jak będą dwadzieścia dwa smoki, to i dwudziesty trzeci się znajdzie. Publiczność też by się przydała.

- Do tego możemy wziąć ludzi.

Wincenty przestał się uśmiechać: - Teraz to ty chyba oszalałeś. Jeśli widok jednego smoka wpędzi ich w histerię, to wyobrażasz sobie, co by się działo na widok dwudziestu dwóch smoków?

- No właśnie - zgodził się Antoni. - Tego w ogóle nie mogę pojąć. To przecież taki piękny widok. Dwadzieścia dwa smoki pośrodku dużej, zielonej łąki. Najpiękniejszy widok na świecie!

## **SCENA DRUGA**

### **Zapoznajemy się ze smoczą muzyką**

W środę rano smok Antoni i smok Wincenty Smok poszły na grzyby. Przez długi czas nie mogły znaleźć ani jednego dobrego grzyba.

- Spójrz - powiedział Antoni - same niejadalne. Borowiki, kurki, kozłaki... A tak bym zjadł parę pięknych, czerwonych muchomorów smażonych na maśle. Albo muchomora szatana. Byleby nie był robaczywy...

- Poczekaj - wysapał Wincenty, obcierając czoło chustką, bo było bardzo gorąco.

Smoki lubią takie rzeczy jak muchomorzy i różne inne paskudztwa. Są to ich przysmaki, po których bardzo szybko rosną i z pysków wydmuchują ogień.

Po chwili znaleźli duże pole pełne pięknych muchomorów. Wincenty splunął ogniem z radości, a Antoni wypuścił nosem parę kłębuszków czarnego dymu. Szybko nazbierali kosz muchomorów, usiedli pod dębem i ułożyli stos gałązek, żeby rozpalic ognisko. Ułożyli grzyby na patelni, a kiedy były gotowe, zjedli je z apetytem. Położyli się na plecach, syci i zadowoleni, i zaczęli rozmawiać.

- Ciekawe, dlaczego ludzie nie jedzą muchomorów? - zauważył Antoni.

- Bo im szkodzą - stwierdził Wincenty.

- A tam, mały ból brzucha jeszcze nikomu nie zaszkodził.

- Ale im bardzo szkodzą. Oni mogą zjeść muchomorzy tylko raz. Potem już na nic nie mają ochoty.

- To co innego - zgodził się Antoni. - W takim razie lepiej, żeby ich nie jedli.

W lesie rozległo się głośne tupanie.

- Oho! - mruknął Wincenty. - Będziemy mieli gości...

Na polanę wszedł smok. Miał różową grzywkę, długie fioletowe włosy związane na karku w ogonek, na szyi termos, a na ramieniu saksofon. Był spocony i bardzo niezadowolony. Spojrzał na oba smoki leżące w cieniu i spochmurniał jeszcze bardziej.

- Ile jest 36 razy 36? - zaryczał ponuro.

- Nie wiem - bez namysłu odpowiedział Antoni.

- Tak, on nie wie naprawdę - dodał Wincenty Smok.

- Dobra odpowiedź - zagrzemiał z zadowoleniem trzeci smok, usiadł na trawie obok nich i zaczął grać na saksofonie. Po chwili przerwał i powiedział: - Możemy zostać przyjaciółmi. Zawsze przerażały mnie smoki, które wiedziały, ile jest 36 razy 36. Taką wiedzę uważam za dowód braku wyobraźni.

- Ale my nie mamy wyobraźni - zaprotestował Antoni. - Nie potrafimy sobie wyobrazić niczego, czego nie zobaczymy lub nie pomacamy.

Trzeci smok pograł przez chwilę na saksofonie, a potem zapytał:

- A możecie sobie wyobrazić moją muzykę?

- Tego nie trzeba sobie wyobrażać. Przecież ją widać - mruknął Wincenty Smok. - Jak zaczynałeś grać, to było widać pomarańczowe motyle skaczące po grubym, miękkim materacu, potem zielone nietoperze opalały się w hamakach, a na końcu przyleciał Łysy Pies, zakaszłał, wypił butelkę oranżady i zaczął się głośno śmiać, i wtedy wszystko zniknęło.

- To prawda, tak było - potwierdził Antoni. - Sam widziałem.  
Trzeci smok poderwał się na łapy, skłonił głowę tak gwałtownie, że mu się różowa grzywka rozwiła nad czołem i powiedział:  
- Nazywam się Smok Zygmunta i mam zamiar zostać waszym dozgonnym przyjacielem, czy tego chcecie, czy nie.  
Oba smoki popatrzyły po sobie niepewnie.  
- Dlaczego "Smok Zygmunta"? - zapytały jednocześnie.  
Smok Zygmunta usiadł i zagrał na saksofonie. Powietrze wypełniło się pomarańczowymi motylami i zielonymi nietoperzami, za którymi gonił Łysy Pies.

- Już byś przestał - warknął Antoni. - Ten Łysy Pies mnie denerwuje.  
Smok Zygmunta przestał natychmiast, Łysy Pies zniknął i smok zaczął opowiadać:  
- Mój ojciec miał na imię Zygmunt. To raz. Kiedy się urodziłem, to byłem taki duży jak dzwon Zygmunta i głos miałem silny jak dzwon Zygmunta. To dwa. Więc moja mama nazwała mnie Smok Zygmunta. To trzy. A że jestem ukochanym jedynakiem, więc na tym się skończyło.  
- To cztery - powiedziały razem oba smoki.  
- Co "cztery"? - zdumiał się Smok Zygmunta.  
- Nic!  
- Dobra odpowiedź - stwierdził Smok Zygmunta i zaczął grać na saksofonie. Tym razem Łysy Pies pojawił się tylko na chwilę, ale zobaczywszy groźne spojrzenie Antoniego, zaraz zniknął. Na jego miejsce przybiegły myszy z różowymi brzuskami, ustawiły się w pary i zaczęły śpiewać kołysanki. Kołysanki były tak piękne, że smok Antoni i Wincenty Smok od razu usnęły. Smok Zygmunta grał dalej, po chwili pojawił się znów Łysy Pies, tym razem pewny siebie, bo Antoni spał. Przyniósł ze sobą grzebień i zaczął czesać śpiewające myszy. Gdy uczesał już wszystkie, Smok Zygmunta przestał grać, wszystko zniknęło i Smok Zygmunta zasnął. Łysy Pies co chwila wysuwał łeb z saksofonu i ciężko wzdychał, żeby pokazać, że jest mu bardzo smutno. Stary dąb szumiał nad smokami, a jego liście wyglądały jak zielone nietoperze.

## **SCENA TRZECIA**

### **O tym, jak ciężki jest los Żaby**

Nikt w lesie nie lubił żaby. Żaba był zielona, miała pryszczę na plecach i wylupiaste oczy. Lubiła mówić o sobie i ciągle się chwaliła. Ale najgorsze było to, że nikt nie chciał się z nią ożenić. Żaba była starą panną.

Tylko smoki czasami z nią rozmawiały i zabierały z sobą na wycieczki albo zapraszały na obiad.

- Ty jesteś takim niewyrośniętym smokiem - mówił Wincenty Smok.  
- Gdybyś była większa... No, ale cóż... Nie można mieć wszystkiego.  
Pewnego dnia smok Antoni i Smok Zygmunta siedziały na polanie i podgrzewały w kociołku zupę ogórkową. Żaba siedziała obok nich i udawała, że nie jest głodna.  
- Ja wcale nie lubię zupy ogórkowej - skrzeczała. Smok Antoni zmarszczył brwi.  
- Zupa ogórkowa jest bardzo smaczna - warknął. - Nie marudź, bo cię zjem.  
- Ty nie lubisz Żab - przypomniała mu Żaba.  
- Ale zawsze mogę się nauczyć - powiedział Antoni i rzucił w Żabę kawałkiem kartofla.

Na polanę wszedł Wincenty Smok.

- Która godzina?! - zaryczał.  
- Nie godzina, a godzina - poprawił go Smok Zygmunta.  
- Cicho!!! Powtarzam: która godzina nadepnęła mi rano na odcisk?! - ryczał Wincenty. Żaba wytrzeszczyła oczy i ze zdenerwowania zaczęła wyłamywać palce u rąk. W końcu krzyknęła, a wylupiaste oczy prawie wyskoczyły jej z głowy:

- To ja! Ale nie nadepnęłam! Ja się potknęłam i upadłam, a twoja noga znalazła się akurat pod moim brzuchem. To twoja wina.

Wincenty popatrzył na nią zimnym wzrokiem.

- Jesteś jednak bardzo niesympatycznym stworzeniem - powiedział spokojnie. Żaba

zdenerwowała się jeszcze bardziej.

- Nieprawda! Nieprawda! Tak wszyscy mówią, bo mam wyłupiaste oczy i pryszcze na plecach. Ale ja mam bardzo dobre serce. Duże i dobre. I to nieprawda, że nikt mnie nie lubi. Moja mama mnie lubi. I mój tata też, czasami.

Smoki wpatrywały się w Żabę w milczeniu.

- No, cóż - powiedział po chwili Smok Zygmunta - zjemy chyba tę zupeę. Żaba się nie zmieni. Jest na to za stara.

Zjedli zupeę. Żaba także. Wprawdzie wylawiała z zupy marchewkę i wyrzucała chyłkiem w trawę, ale resztę zjadła grzecznie. Szczególnie smakowały jej ogórki, bo były takie zielone jak ona.

Po obiedzie smoki zdecydowały, że pójdą na zwiady.

- A co będziemy zwiedzać? - zainteresowała się Żaba.

- Cicho, ty żabia prostoto! - ryknął Antoni. - Nie będziemy nic zwiedzać. Będziemy badać teren. Może

znajdziemy jeszcze jakieś smoki.

- Albo żaby... - rozmarzyła się Żaba.

- Niedoczekanie... - szepnęła Wincenty Smok. - Jedna godzina wystarczy - i wyruszyli.

Szli gęsiego - Antoni, Wincenty, a potem Smok Zygmunta. Żaba siedziała na głowie Wincentego i wytrzeszczała oczy. Smok Zygmunta grał cicho na saksofonie. Łysy Pies się nie pojawiał, za to co chwila z saksofonu wysuwał łeb ogromny, fioletowy kocur. Miał żółty brzuch, paznokcie pomalowane na czarno, a na głowie włóczkowy beret w kolorowe paski. Żaba oglądała się co chwila, żeby mu się dobrze przyjrzeć. Jak tylko przestaną obgryzać paznokcie, to pomaluję je sobie na czarno - pomyślała. Potem zapytała:

- Czy ty potrafisz zagrać żabę?

- Potrafię - odparł Smok Zygmunta. - Ale po co? To nie byłaby ładna melodia.

Żaba się obraziła.

Nagle na ścieżce pojawiła się kura. Smoki zatrzymały się, a żaba pomyślała, że kura ma jeszcze brzydsze oczy od niej. Kura miała pochylony łeb i wpatrywała się w piasek pod swoimi kurzymi łapami. Smok Antoni chrząknął głośno, kura nic. Więc zakaszła delikatnie, opalając kurze koniec ogona ogniem z pyska. Kura obejrzała się za siebie i zdziwiła się bardzo, zobaczywszy żałosne resztki piór na swoim kuprze. Ale kurze zdziwienie nie trwa długo. Kura znów pochyliła łeb, ale coś ją tknęło i stwierdziła, że powinna porozglądać się dookoła. Spojrzała na ścieżkę i z jej gardła wydobył się przeraźliwy dźwięk.

- Co jej jest?! - zaniepokoił się Smok Zygmunta.

- Chyba się boi - powiedział Wincenty.

- Nie bój Żaby - zaskrzeczała łagodnie Żaba.

- Nie bój smoka - podchwyciły smoki.

- O rety! - krzyczała kura. - O rety, rety, rety!!! Smok! Dużo smoków! I smocza żaba! O rety!!!

- Nie histeryzuj, bo cię nikt nie będzie lubił - powiedziała zimno Żaba.

- No to co? - Krzyknęła kura przelatując nad krzakiem głogu, i przebiegając prędko krótkimi łapami uciekła, wznosząc za sobą tumany kurzu.

- O!? - Powiedziały chórem smoki. - Latająca kura. Coś takiego!

- Kury nie latają - stwierdziła przemądrzała Żaba wytrzeszczając oczy.

- Jak to nie latają?! Ta lata. Nie widziałaś? - oburzył się smok Antoni.

- Widziałam, ale to o niczym nie świadczy - upierała się Żaba.

- Cicho, bo cię zjem - warknął Antoni. - Nabrałem ogromnego apetytu na żaby od chwili poznania ciebie, ty gadzino.

- Chłopakii!!! - przerwał mu Smok Zygmunta i rzucił o ziemię saksofonem, aż fioletowy kot dostał czkawki. - Już wiem! nauczymy się latać. Jak kura może, to my też możemy!

- Pewnie - krzyknął smok Wincenty Smok. - Czy kura w czymkolwiek jest lepsza od smoka?

- Nie jest lepsza, jest tylko mniejsza - zgodziła się Żaba łaskawie.

- A co jest potrzebne do latania? - dopytywał się nerwowo Antoni.

- Skrzydła i urwisko - stwierdził Wincenty.

- No tak. Skrzydeł nie mamy, ale kura też ma marne. Urywisko jest najważniejsze. A jak

będzie wiatr, to już w ogóle pójdzie jak z płatka. Będziemy szybować, chłopaki - piszczał podniecony Smok Zygmunta.

Smoki aż dostały rumieńców. Żaba też się zarumieniła, ale nie wyglądało to ładnie.

Biedna żaba. Smoki od razu to zauważyły.

- Przestań się rumienić. Wyglądasz paskudnie - zarechotał Antoni.

- Powinnaś się pudrować - dodał Wincenty.

- To mi popsuje cerę - skrzeknęła Żaba.

- Jaką cerę? I tak masz pryszczę na plecach - chichotał Smok Zygmunta.

- Jesteście niegodziwce! Zwierzęta! W końcu kobiecie należy się jakiś szacunek - Żaba była bardzo poruszona. Smoki przestały żartować i zrobiło im się bardzo przykro.

- Nie płacz - burknął Wincenty. - Nauczmy cię latać. W nagrodę pofruniesz pierwsza.

Żaba pocałowała Wincentego w policzek, zupełnie udobruchana.

- Idziemy do domu - zdecydował Smok Zygmunta. Jurto z samego rana uczymy się latać. Można by poprosić kurę o parę lekcji.

Antoni zastanowił się przez chwilę.

- Mam pewne podejrzenie, że kura się nie zgodzi - powiedział.

- Trudno - stwierdziła Żaba. - Poradzimy sobie sami.

## **SCENA CZWARTA**

### **Dowiadujemy się, że smok to nie ptak**

Następnego dnia z samego rana smoki poszły nad urwisko. Poszły same, ponieważ Żaba zachorowała na świnkę i pójść nie mogła. Płakała głośno, ale nic jej to nie pomogło.

Smoki kazały jej leżeć na kupie suchych liści i chorować. Więc Żaba leżała i chorowała, a smoki poszły.

Urwisko było wysokie, strome i bardzo straszne. Na brzegu rósł krzak głogu, który miał mało liści, a dużo kolców i poza tym nic nie rośło. Smoki sposepniały i spojrzały w dół, marszcząc brwi.

- Słabo dzisiaj wieje - zachrypiał Smok Zygmunta.

- Wieje tak jak potrafi, czego się czepiasz? - warknął Wincenty Smok.

Smok Antoni bał się najbardziej, więc postanowił mieć to już za sobą, jak najprędzej.

- Odsuńcie się - wyszeptał grobowym głosem. Smoki się odsunęły, a Antoni cofnął się trochę, żeby mieć większy rozbieg i zaczął biec w stronę urwiska, szybko przebijając łapami. Trochę przeszkadzał mu tłusty brzuch. Już, już miał skakać, gdy Wincenty Smok krzyknął:

- Ogon!!!

Antoni w ostatniej chwili wyhamował, ryjąc piętami w piasek.

- Co "ogon"?!!! - ryknął.

- Rozcapierz ogon, to będziesz lepiej sterował - powiedział spokojnie Wincenty.

- Twoja głupota jest większa niż to urwisko! Masz być cicho i tyle, ty truflo!! - ryknął Antoni i skoczył. Przez chwilę zawisł w powietrzu, spojrzął w dół, zamachał wszystkimi łapami, puścił nosem trochę dymu z ogniem i zaczął spadać.

- Ty, on leci - stwierdził z zainteresowaniem Smok Zygmunta.

- Ale pionowo - zauważył ponuro Wincenty.

W tym samym momencie Antoni rąbnął z hukiem o ziemię, wznosząc tumany kurzu.

Potem rozcapierzył ogon i legł bez ruchu.

- Co on robi? - chrypnął Smok Zygmunta.

- Leży.

- Co ty robisz? - zawołał Smok Zygmunta do Antoniego.

- Leżę - odparł Antoni krztusząc się piachem.

- Miałeś latać - obraził się Wincenty.

Antoni obrócił się na plecy i spojrzął na oba smoki siedzące na urwisku.

- Wiesz, w ostatniej chwili się rozmyśliłem. Więc zszedłem po prostu na dół, dość szybko, jak widzieliście, a teraz się opalam.

Antoni zamknął oczy i pomyślał, że będzie się chyba musiał opalać przez trzysta lat, zanim uda mu się wstać. Kości bolały go potwornie, miał podbite lewe oko i ogromny guz

na łbie.

Wincenty Smok i Smok Zygmunta rozmyślały się trochę wcześniej niż Antoni i więcej smoczych skoków nie było. Antoni był zbolaty i zły, ale i tak cieszył się w duchu, że udało mu się wstać po trzydziestu minutach, a nie po trzystu latach. Trzeba się cieszyć z drobnostek - pomyślał - bo nigdy nie wiadomo, jakie urwisko czeka nas jutro.

Kiedy smoki wróciły na polanę, Żaba udawała, że nic nie zauważyła. Przyznacie chyba, że nie jest łatwo przeoczyć trzy dorodne smoki na małej polanie, ale Żaba była zdolna. Pod wieczór zwróciła w stronę smoków żabie oczy i zaskrzeczała łaskawie:

- O, jesteście? Jak było?

Smok Wincenty już otworzył pysk, żeby jej odpowiedzieć, gdy nagle Antoni zawołał:

- Jedno słowo z pyska, a stanie się coś strasznego!!!

Smoki zamarły w bezruchu, nawet Żaba siedziała cicho. Nikt nie miał odwagi sprawdzić, co takiego strasznego by się stało, gdyby jedno słowo wydobyło się ze smoczego pyska.

Smoki nigdy więcej nie próbowały latać, a Żaba nigdy nie dowiedziała się jak było, ale za to miała świnkę.

## **SCENA PIĄTA**

### **O smoczym budownictwie i co z tego wynikło**

- Zbudujemy mur - powiedział Wincenty Smok we wtorek - a za tym murem zbudujemy las, a potem go wyrąbiemy i zbudujemy boisko do piłki nożnej i huśtawkę dla Żaby. Będziemy mieli mnóstwo roboty.

Smoki wybudowały mur bardzo szybko. Smok jest stworzeniem ambitnym i potrafi pracować, jeśli zechce. A ponieważ taka ochota nachodzi go bardzo rzadko, więc smoczych murów niewiele jest na świecie.

Po zbudowaniu muru smoki wdrapały się nań posapując z wysiłku, bo przeszkadzały im tłuste brzuchy. A potem zeskoczyły na drugą stronę i zamarły z zdziwienia. Stały tam zupełnie nowe, świeżo upieczone smoki. Jeden był bardzo duży, a drugi był średni. Włosy miały ostrzyżone na jeża, były bardzo szczupłe i poważne. Stały nieruchomo, patrząc przed siebie dużymi, czerwonymi oczami, aż Smok Zygmunta nie wytrzymał i zapytał z lekka ochrypłym głosem:

- Co wy?

- To samo, co wy - odparł spokojnie średni smok.

- Zaraz, zaraz! - krzyknął Wincenty. - Po pierwsze, spokój ma być! A po drugie, dlaczego wy jesteście takie inne? nie wstyd wam?

- Zupełnie nam nie wstyd - odrzekł spokojnie średni smok.

- My jesteśmy rasowe smoki i mamy prawo wyglądać tak, jak nam się podoba. Rasa upoważnia do wielu rzeczy.

Antoni, Wincenty i Smok Zygmunta popatrzyły po sobie niepewnie.

- No, a my, to co? - szepnął Antoni.

- Wy jesteście kundle - odpowiedział z zażenowaniem nowy, średni smok. Smok Zygmunta chlipnął pod nosem.

- A po czym poznaje się rasowego smoka?

- Rasowy smok przechodzi mutację - wyjaśnił Nowy Średni. - Dlatego mój kumpel nic nie mówi. Wstydzi się. Mówi jak kura.

- Biedny... - szepnął Smok Zygmunta.

- Poza tym rasowe smoki są przeważnie szczupłe, poważne i bardzo muzykalne. Są tak muzykalne, że nigdy nie słuchają muzyki. Muzyka je drażni i w tym rozdrażnieniu zjadają ludzi.

- A co jedzą, gdy nie są rozdrażnione?

- Krochmal.

Smoki zamilkły.

- A jak na was mówić? - przerwał ciszę Wincenty.

Nowy Średni puknął palcem w zapadniętą pierś kolegi i powiedział:

- To jest Zdzisław. A ja się w ogóle nie nazywam, bo szkoda mi na to czasu.

- A dlaczego byliście za tym murem?



Zdzisław milczał, więc Nowy Średni wyjaśnił:

- My tak zawsze. Za jakimś murem. Jak nam ktoś muru nie postawi, to nic z tego, nie ma nas. A jak jest mur, to owszem, możemy nawet postraszyć. To taka pozostałość z życia na podzamczu. To się chyba nazywa urazy z dzieciństwa. Tak mi tłumaczyła kiedyś pani doktor, ale za dużo mówiła, więc ją zjadłem. Mam nadzieję, że wyciągnęła z tego odpowiednie wnioski.

- Ty też dużo gadasz - burknął Antoni.

- Ja mogę. Ja jestem rasowy.

Zdzisław nie wytrzymał i zaskrzeczał nagle kurzym głosem:

- Jeść!!!

- Trzeba było od razu tak mówić - powiedział Wincenty. - Na polanie Żaba gotuje czarną polewkę. Chodźmy ją postraszyć.

I smoki poszły.

## SCENA SZÓSTA

### O tym, jak nieprzyjemnie jest być warzywem

Żaba miała straszny sen. Śniło jej się, że jest cebulą, rośnie w ziemi po samą szyję, a na głowie ma szczypior. Ale zacznijmy od początku.

W małym ogrodzie, otoczonym przez stare krzewy bzu, rosły najróżniejsze warzywa. Na grządce z cebulą, w samym środku, rosła Żaba. Sen był naprawdę straszny. Żaba nie miała nóg ani rąk i było jej z tym bardzo niewygodnie. Popiskiwała cienko wierząc się w ziemi w nadziei, że uda jej się wygrzebać na powierzchnię. Inne cebule patrzyły na to niechętnym okiem. Jedna z nich powiedziała nawet:

- Ta cebula jest niewychowana. Rozpycha się.

Żaba na chwilę znieruchomiała z oburzenia i już miała coś powiedzieć, gdy raptem na jej głowie usiadł motyl Bielinek Kapustnik. Żaba wrzasnęła przerażona. Inne cebule zaczęły chichotać, a jedna z nich oznajmiła:

- Widać pomyślał, że jesteś kapustą. Chi, chi, chi!

Motyl spojrzął groźnie na grządkę, potem w dół na Żabę pod postacią cebuli:

- Cicho, kobiety. Tylko trochę odpocznę i polecę dalej. Nie ma o co robić tyle hałasu.

- Dobrze ci mówić! - warknęła Żaba. - Tobie nikt nie siedzi na głowie. Jak się obudzę i będę znowu Żabą, to cię zjem.

Motyl spojrzął na nią spokojnie.

- Tak prędko to się jeszcze nie obudzisz. Byłem przed chwilą na waszej polanie i wszyscy chrapią, że aż miło. Ty też śpisz w najlepsze.

Żaba posmutniała.

- To co ja teraz zrobię? Nudzi mi się okropnie na tej grzędzie i na pewno wyglądam śmiesznie z pęczkiem szczypioru na głowie.

- Wyglądasz bardzo ładnie. I nie masz wyłupiastych oczu. To powinno cię trochę pocieszyć.

- Mnie już nic nie pocieszy - rzekła ponuro Żaba i zamachała rozpaczliwie pękiem szczypioru.

W tym samym momencie nadleciało stado różnych motyli, kołując nad głową Żaby-cebuli. Był tam Paź Królowej, nazywany również Jaskółczym Ogonem, był Modraszek Lazurek, Cytrynek i parę innych motyli. Jeden z nich krzyknął do Bielinka Kapustnika:

- Rysiu! No jak tam z naszą próbą?

- Jaką próbą? Jaką próbą? - zaszepotały zaciekawione cebule i nawet Żaba nadstawiła ucha. Rysio dumnie wypiął wątlą pierś.

- Chłopaki i ja założyliśmy zespół baletowy i właśnie odbywamy próby do naszego pierwszego przedstawienia pod tytułem "Los motyla nad jeziorem łabędzim" - powiedział.

- A motyllice też biorą udział? - zapytała duża, dorodna cebula rosnąca na końcu grzędy.

- Nie, "motyllice", a motyle kobiety - poprawił ją Modraszek Lazurek. - Niektóre biorą udział, tylko moja żona nie, bo nasze lazurkowe kobiety są czarne. A czarny kolor nie pasuje do dekoracji. Natomiast będzie śpiewała w chórze.

W tej samej chwili z oddali dobiegł głośny, trochę fałszujący śpiew. Głosy były niskie,

trochę ochryple, a chwilami wybijał się spomiędzy nich delikatny dźwięk saksofonu.

- To wasze kobiety tak śpiewają? Okropieństwo! - zapiszczały cebule, tylko Żaba trochę się skuliła i zacisnęła usta, podejrzewała bowiem, co za chwilę nastąpi.

I rzeczywiście, na ścieżce ukazała się grupa smoków idących gęsiego ze śpiewem na ustach. Na końcu szedł Smok Zygmunta i grał na saksofonie. Motyle ze zdumienia pootwierały szeroko usta. Żaba wychyliła się z ziemi jak najbardziej mogła i krzyknęła gromkim głosem:

- Tu jestem! Ratunku!

Smoki od razu zamilkły i zaczęły rozglądać dookoła. Najpierw zauważyły rój motyli.

- Zobacz, motyle - powiedział Antoni.

- Przecież widzę - burknął Wincenty Smok.

Smok Zygmunta wrzucił lekceważąco ramionami.

- Ja potrafię zagrać lepsze motyle. Moje tańczą na materacach, noszą kolorowe rajstopy i baletki z ałtasu, a na głowach mają...

- Co się wymądrzasz?! - krzyknął z oburzeniem Paź Królowej.

My też mamy baletki i rajstopy. A na głowach nosimy diademy z prawdziwymi brylantami. To znaczy z takimi szkiełkami jak brylanty. I nikt nie wie, że to nie są prawdziwe brylanty! Nikt!!

- Jak to nikt? - zaśmiał się Smok Zygmunta. - Ja wiem.

- Skąd? - zdziwił się Paź Królowej.

- Ratunku!!! - rozległ się rozdzierający krzyk Żaby.

- Ojej, to chyba głos Żaby - zaniepokoił się Nowy Średni, a Zdzisław zakaszał nerwowo.

- Tak, tak, to głos Żaby - krzyczała Żaba. - To ja tu rosnę w ziemi i nie mogę się obudzić!

Czy moglibyście wrócić na polanę i mnie obudzić, żeby ten straszny sen się skończył?

- Żaba... - zdziwił się Wincenty, zaglądając pod kępkę zielonego szczypioru. - Ale ci się sen trafił, chi, chi, chi...

- Wincentku kochany - jęczała Żaba. - Obudźcie mnie, błagam.

- Moja droga, twój sen jest twoją sprawą. A po drugie, my też śpimy i śnimy. Śni nam się właśnie, że spotkaliśmy pyskate motyle i Żabę rosnącą w ziemi w charakterze cebuli.

Będziemy cię mogli obudzić dopiero, jak sami się obudzimy.

Żaba zamilkła z przerażenia, a Wincenty obrócił się do smoków i krzyknął:

- Smok Zygmunta, grać! Śnimy dalej.

Smok Zygmunta zaczął grać, smoki zaczęły śpiewać ochryplymi głosami i smoczy szereg pomaszzerował ścieżką w stronę lasu.

Po chwili ciszy odezwał się Paź Królowej:

- Rysiu, skąd oni wiedzieli, że nasze szkiełka to nie są prawdziwe brylanty?

- O rety! - zdenerwował się Rysio Kapustnik. - Jesteś najgłupszym motylem na grzędzie z cebulą!

Paź Królowej się rozplakał.

- Nie rycz! - warknął Rysio Kapustnik i podał mu dużą, białą chustkę. - Będziesz miał czerwone oczy i jak to będzie wyglądało podczas przedstawienia? Wygwizdzą cię.

- Rzeczywiście - szepnął Paź, głośno czyszcząc nos i ocierając oczy.

- A teraz, chłopaki, zaczynamy próbę - rozkazał Rysio Kapustnik i motyle zaczęły tańczyć.

Wszystkie cebule z Żabą włącznie podniosły głowy i zaczęły z zaciekawieniem oglądać motyli balet. Wyglądało to bardzo pięknie. Najpierw tańczył Rysio Kapustnik w roli Łabędzia. Stał delikatnie na paluszkach, a białe skrzydełka z wdziękiem układały się w wymyślne pozy. Paź Królowej również tańczył pięknie, tylko zaczerwienione oczy trochę go szpeciły. Najtrudniejszą rolę miał Modraszek Lazurek. Występował bowiem w roli nieba, a chwilami w roli jeziora, i musiał starać się znaleźć we wszystkich miejscach jednocześnie. Pozostałe motyle miały role drugorzędne, ale tańczyły równo, co było niemałym osiągnięciem.

cebule patrzyły zachwycone. Żaba również. Właśnie stwierdziła, że sen zrobił się nagle bardzo piękny i że chętnie pośniłaby jeszcze, gdy nagle poczuła, że się budzi.

- Ojej! - krzyknęła z niezadowolaniem i raptem znalazła się na polanie.

Przetarła oczy łapkami i rozejrzała się wkoło. Smoki spały na plecach, oddychając głęboko. Obok, pod dębem, stały równiutko poustawiane termosy z zupą ogórkową. Żaba pomacała się po głowie. Szczypioru nie ma - pomyślała z zadowoleniem. Wyjęła lusterko i

zajrzała do niego ostrożnie. Wyłupiaste oczy są - westchnęła ze smutkiem. Potem odkręciła smocze termosy i z każdego ulała trochę zupy ogórkowej do swojej miseczki. Zjadła zupę, popatrzyła na śpiące smoki i powiedziała do siebie:  
- Niech sobie pośpią. Taki kawał maszerowały śpiewając, że pewnie są zmęczone. I Żaba pobiegła popływać do pobliskiego jeziora.

## SCENA SIÓDMA

### O tym, co może się wydarzyć podczas prania

Pewnego dnia smoki postanowiły zrobić wielkie pranie. Przygotowały balię, mydło, proszek do prania i sznury do rozwieszania upranych rzeczy. Żaba siedziała pod dębem i przyglądała się im ponuro. Wreszcie nie wytrzymała i powiedziała jadowitym tonem:

- Chłopaki, a co będziemy prać?

Smoki znieruchomiały przy swoich czynnościach i w patrzyły się w Żabę czerwonymi oczami. Po chwili Smok Zygmunta wykrztusił:

- Ja mam kokardkę we włosach...

- Ja też - dorzucił Wincenty. Zapanowała cisza.

- Możemy uprać nasze termosy i saksofon - oznajmił po chwili Nowy Średni niepewnym głosem.

- Wiecie co? zagrzała Żaba, zrywając się na nogi i nagle umilkła, bo na polanę wbiegła Makrauchenia i schowała się za dębem.

- O, Makrauchenia - powiedział zdziwionym głosem Zdzisław.

Makrauchenia wysunęła głowę spoza dębu i zamrugła niepewnie powiekami.

- Bezcelny... - wyszeptła. - Nawet jeżeli wiesz, kim jestem, mógłbyś choć przez chwilę udawać zdziwienie.

Zdzisław się zarumienił i spuścił powieki. Makrauchenia poprawiła koronkowy kołnierzyk, który nosiła luźno zawiązany wokół szyi i wyszła spoza dębu. Stała na środku polany i powiodła po smokach dużymi oczami, a na koniec wpatrzyła się w Żabę ze skupieniem.

- Masz bardzo brzydkie oczy - powiedziała oschle i zamrugła złośliwie długimi, pięknymi rzęsami. Żaba zaczęła wyc z rozpacz.

- Cicho być - warknęła Makrauchenia, wypięła pierś i zaczęła mówić tonem starej ciotki:

- Nazywam się Makrauchenia. Przyjaciele mówią na mnie Chenia albo Cheniutka. Jestem jedna, jedyna na świecie i dlatego jestem pod ochroną. Ale ta ochrona nie jest zbyt uciążliwa, ponieważ nikt nie wie o moim istnieniu. Gdyby się dowiedzieli... O rety! -

Makrauchenia aż zbladła na samą myśl o tym i zamilkła.

- To co by było? - zapytał z zaciekawieniem Smok Zygmunta i wrzucił saksofon do balii z mydlinami.

Makrauchenia popatrzyła badawczo na balię, odwiązała kołnierzyk i rzuciła go w mydliny w ślad za saksofonem.

- Jak prać, to prać - szepnęła do siebie, a potem powiedziała głośniej.

- To by mnie wzięli do muzeum. A potem przyjechałaby telewizja, radio, kronika filmowa... okropieństwo!

Smoki zaczęły uważnie przyglądać się Makraucheni. Było to dziwne stworzenie.

Makrauchenia była wielkości wielbłąda, miała długą szyję i koński pysk, i długie nogi. Na końskim pysku sterczał krótki ryjek.

Zdzisław podszedł bliżej do Makraucheni, pogłaskał ją po grzbiecie i powiedział:

- Nigdy nic podobnego nie widziałem, a widziałem już bardzo wiele. Nawet podejrzewałem, że widziałem już wszystko, a tu się okazuje, że nie.

- Nie mogłeś nigdy nic podobnego widzieć, bo ja wymarłam dwanaście milionów lat temu.

- Co ty za bzdury gadasz? - rozłościła się Żaba. - Jak mogłaś wymrzeć, skoro tu jesteś?

- To znaczy wymarły wszystkie inne Makrauchenie, oprócz mnie - poprawiła się Chenia i usiadła na trawie.

Smoki przysiadły obok niej. Żaba była dalej obrażona i siedziała nadęta obgryzając paznokcie. - Żaby nie mają paznokci - mruzczała do siebie - więc ponieważ nie powinnam ich mieć, to tak, jakbym ich nie obgryzała.

- Czy ty jesteś smokiem? - zapytał Zdzisław Chenię ochryplym głosem.

- Smokiem chyba nie jestem, ale jestem ssakiem.  
- My też ssaki - powiedział dumnie Antoni. - Bardzo lubimy ssać smoczki.  
- Wy nie żadne ssaki, a kundle - powiedział Nowy Średni, a Zdzisław przytaknął mu w milczeniu.  
- Zaraz, zaraz, czy kundel nie może być ssakiem? - wtrącił się Smok Zygmunta.  
- Nawet jeśli może, to jego ssakowatość przestaje być ważna przy kundlowatości - odparł Nowy Średni. - A teraz daj nam porozmawiać z tą biedną dziewczyną.  
Makrauchenia spojrzała na niego ze zdziwieniem i szepnęła:  
- To macie tu jakieś dziewczyny!?  
- O rety - jęknął Zdzisław - nie dość że kobieta, to jeszcze przygłupia.  
- A ty jesteś niewychowany - obraziła się Chenia, wstała i poszła usiąść obok Żaby. Żaba bardzo się ucieszyła.  
- My, kobiety, powinnyśmy trzymać się razem - szepnęła Cheni do ucha. - Bo ci mężczyźni nas zniszczą. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie ja tu mam ciężkie życie.  
Chenia westchnęła smutno: - Ja też mam ciężkie życie.  
- Opowiedz! - poprosiła Żaba.  
I Chenia zaczęła opowiadać.

## SCENA ÓSMA

### Bardzo smutna i straszna opowieść Makraucheni

- Było to bardzo, bardzo dawno temu. Tak dawno temu, że góry były wtedy płaskie, morza płytkie, a rzeki krótkie. Na świecie nie było kwiatów ani motyli, ani tak miłych Żab jak ty. Żyły makrauchenie, dinozaury i pterodaktyle.  
- Co to dinozaur? - przerwała jej Żaba z zaciekawieniem.  
Smoki też przysunęły się bliżej i słuchały uważnie.  
- Dinozaury - powiedziała Chenia - były to wielkie gady.  
- A co to "gad"? - pytała Żaba.  
- Gady to są takie zwierzęta, jak krokodyle, żółwie, jaszczurki i węże.  
- Paskudztwa - szepnęła Żaba. - Mów dalej.  
- A co to pterodaktyl? - wtrącił Wincenty.  
- O rety, to taki owoc, cicho bądź! - uciszył go Smok Zygmunta.  
- Jaki owoc, ty głupoto - ryknęła Chenia ze zdenerwowaniem. - To też były gady, takie jaszczury latające. Wyglądały jak ptaki, tylko miały w dziobach zęby, a na skrzydłach pazury.  
- O rety - jęknęła Żaba. - I takie coś latało?! Zęby i pazury, i latało?! Rzeczywiście miałaś straszne życie.  
- To wcale nie było straszne. Można się przyzwyczaić do wszystkiego. Pterodaktyle były dla mnie bardzo miłe, bawiły się ze mną w berka i śpiewały mi różne piosenki. A dinozaury bawiły się ze mną w chowanego. Zawsze wygrywałam, bo były takie wielkie, że nie mogły się nigdzie schować. Nawet jeżeli schowały się za jakiś bardzo duży kamień, to kawałek pleców albo ogona, albo czegoś tam im wystawał.  
- A smoki nie są wielkie? - spytał Nowy Średni.  
Makrauchenia spojrzała na niego z uwagą.  
- Ty jesteś Średni, więc nie możesz być wielki. Ale i tak nie byłbyś wielki, nawet gdybyś nie był średni. Wy, smoki - zwróciła się Chenia do pozostałych smoków - wyglądałybyście przy dinozaurach jak ratlerki.  
- Chi, chi, chi - zaśmiała się Żaba. - Ratlerki! Wincenty ratlerek! Chi, chi, chi!  
Wincenty chwycił Żabę za prawą tylną łapę i rzucił ją w krzaki. Po chwili Żaba wypełzła spod liści. Była już poważna. Cichutko usiadła obok Cheni i powiedziała słodkim głosem:  
- Opowiadaj dalej.  
Chenia posłusznie zaczęła opowiadać.  
- I całe nieszczęście zaczęło się właśnie od zabawy w chowanego. Bawiłam się z kolegą, bardzo dużym i łagodnym dinozaurem. On się chował pierwszy. Ale znalazłam go od razu, bo schował głowę pod taki kolczasty krzak i myślał, że go w ogóle nie widać. A potem była moja kolej. Schowałam się do jaskini. Jaskinia nie była duża, ale mieszkało w



niej sporo nietoperzy i było tam bardzo wesoło. Siedziałam tam i siedziałam, i jakoś mój kolega nie mógł mnie znaleźć. Nawet nie wiem jak długo tam byłam, bo nie mam zegarka. Nawet gdybym go miała, to też bym nie wiedziała, bo nie umiem odczytywać godziny. A wy umiecie?

- Pewnie - odpowiedział niepewnym głosem Antoni. - Teraz jest trzecia.

- A gdzie masz zegarek? Przecież nawet nie spojrzałeś.

- I nie będę patrzył. Na zegarek patrzy się wtedy, kiedy nie wie się, która jest godzina. A ja przecież wiem. Opowiadaj.

Chenia opowiadała dalej.

- W każdym razie, kiedy wyszłam z jaskini i rozejrzałam się dookoła, był już inny świat. Nie było ani makrauchenii, ani dinozaurów, ani pterodaktyli. Mojego łagodnego kolegi też nie było.

Chenia posmutniała i umilkła. Smoki zamrugwały oczami. Żaba zaczęła płakać. Rysio Kapustnik, który nadleciał podczas opowiadania Cheni i przycupnął na dmuchawcu, żeby posłuchać, schował głowę w chude ramiona i siedział w milczeniu, wzdychając ciężko.

- Kiedy to było? - zapytał cicho Zdzisław.

- Dwanaście milionów lat temu, na wiosnę - odpowiedziała smutno Chenia.

- Co?!!! - wrzasnął Smok Zygmunta tak głośno, że Rysio Kapustnik spadł z dmuchawca i nabił sobie guza. I ty chcesz, żebyśmy w to uwierzyli? Dwanaście milionów! Też coś! Czy ty wiesz, ile to jest milion?

- Nie.

- No to skąd możesz wiedzieć, ile jest dwanaście milionów?

- Przeczytałam o tym w jakiejś książce - odparła spokojnie Makrauchenia.

- No, wiesz - chrząknął niepewnie Antoni, patrząc na Smoka Zygmunta. - Ja sam mam sto osiemdziesiąt lat.

- A ja trzysta sześćdziesiąt sześć - dodał Wincenty Smok pojednawczo.

- Ja tam nie wierzę - denerwował się Smok Zygmunta.

- Makrauchenie są bardzo prawdopodobne - powiedziała Chenia - jak również nie lubią przesady.

- Ja jej wierzę - odezwała się Żaba. - Nikt by takich głupot nie wymyślił. To musi być prawda.

Smok Zygmunta chciał zagrać na saksofonie, żeby mieć czas do namysłu, ale przypomniał sobie, że saksofon leży na dnie balii z mydlinami.

- O rety - jęknął - Łysy Pies mi tego nigdy nie wybaczy. Tyle czasu w mydlinach!

Zerwał się na równe nogi i pobiegł uprać swój saksofon. Chenia również zapomniała chwilowo o smutku i zaczęła prać koronkowy kołnierz. Przez dłuższy czas wszyscy prali. Żaba nie prała, bo nie miała co.

Muszę sobie kupić białe podkolanówki - myślała - białe, żeby się szybko brudziły i żebym zawsze miała coś do uprania. I pepegi. Jak to będzie elegancko wyglądało - Żaba w pepegach.

Więcej opowieści w tym dniu nie było. Wkrótce na sznurach wisały uprane termosy, saksofon, kokardki i kołnierz Cheni. Wszyscy poukładali się wygodnie wokół ogniska, które rozpałała Żaba, żeby odpędzić komary. Łysy Pies siedział pod krzakiem owinięty w koc i kichał, patrząc ponuro na Smoka Zygmunta. Taki to psi los - myślał - piorą cię w mydlinach, nawet nie pytając o zgodę.

Zapadła noc.

## **SCENA DZIEWIĄTA**

### **Dowiadujemy się, czego nam brakowało w dniu urodzin**

Życie na polanie toczyło się spokojnie przez jakiś czas. Nic specjalnego się nie działo. Chenia zamieszkała ze smokami i widać było, że humor jej dopisuje. Nauczyła się jeść zupę ogórkową i muchomory. Żaba codziennie prała jej koronkowy kołnierz, a potem suszyła go na sznurze w słońcu. Kołnierz był zawsze biały jak śnieg i pachniał powietrzem. Wieczorami Smok Zygmunta grał na saksofonie, Łysy Pies dał się przeprosić i brał udział w prawie każdej melodii.

Czasami przylatywał Rysio Kapustnik z kolegami i dawali przedstawienie. Smoki bardzo chciały brać udział w niektórych widowiskach, ale Rysio uważał, że są za ciężkie i za grube. Nie powiedział im tego wprost, bo przecież by się obrażyły. Wyłumaczył im natomiast, że z pewnością nigdzie nie kupią baletek, w które dałoby się wcisnąć tłustą, smoczą łapę, a taniec bez baletek jest nie do pomyślenia. Smoki wkrótce przyznały mu rację i zadowolily się rolą widzów. Nawet im to odpowiadało, bo przed każdym przedstawieniem kupowały wielką torbę karmelków i pożerały je w skupieniu, oglądając tańce motyli. A ponieważ smoki bardzo lubią karmelki, więc wieczory baletowe upływały w cudownej atmosferze.

Pewnego dnia, chyba w piątek (dobrze już nie pamiętam, ale na pewno nie był to poniedziałek), Rysio Kapustnik przyleciał sam i oznajmił, że dzisiaj jest poniedziałek, więc przedstawienia nie będzie, bo w poniedziałki wszystkie teatry są zamknięte.

- Dzisiaj jest piątek - powiedziała ze zdziwieniem Żaba.

- Jak może być piątek, skoro nie będzie przedstawienia. Poniedziałek i koniec. A przedstawienia nie będzie również dlatego, że mam dla was niespodziankę. Dziś wieczorem rozpalcie ognisko i czekajcie na mnie. O ósmej przyprowadzę tę niespodziankę, bo sama nie chciała przyjść. Wstydzi się.

Rysio był wyraźnie podniecony, poprawiał rajstopy nerwowymi ruchami i mrugał porozumiewawczo do Cheni. Chenia pisnęła cienko:

- Znalazłeś drugą Makrauchenię?

- Nie, nie, moja droga, dobra kobieto. Drugiej takiej jak ty nie ma na całym świecie! -

Rysio uśmiechnął się do Cheni z czułością. Chenia oblała się pąsowym rumieńcem, a Żaba pomyślała ze zdziwieniem: O rety, zakochał się! To samo musiało przyjść do głowy Cheni. Spuściła nieśmiało powieki i poprawiła kołnierz, a kiedy ponownie odważyła się spojrzeć, Rysia Kapustnika nie było już na polanie.

O godzinie ósmej wszystkie smoki, Chenia i Żaba siedzieli wokół ogniska i czekali niecierpliwie na Rysia Kapustnika. Rysio się spóźnił.

- Ach, ci artyści... - westchnęła Chenia. - Żadnego poczucia czasu.

Smoki ponuro przytaknęły głowami.

- Jest, jest!! - wrzasnęła Żaba.

Rzeczywiście, Rysio przyleciał i usiadł na trawie obok Żaby.

- Jestem - wysapał. - A teraz, uwaga! - Rysio zwrócił się w stronę pobliskich zarośli i krzyknął: Możesz wyjść!

Z krzaków wyszedł smok. Ale jaki! Wielki, puchaty, różowy od łba do ogona, o prześlicznych pomarańczowych oczach i niebieskich kłach. Futro miał bardzo długie i gęste, i bardzo miękkie. Wyglądał jak kłębek puchatej wełny. Tylko że ten kłębek był potwornie wielki.

Smoki rozdziwiły pyski ze zdumienia. Żabie oczy zrobiły się jeszcze większe, a Chenia spojrzała na Rysia Kapustnika, mrugając długimi rzęsami i szepnęła z uwielbieniem:

- Och, Rysiu...

Rysio Kapustnik wypiął dumnie wątlą pierś, a potem spuścił skromnie oczka i powiedział spokojnie:

- To jest Tortowy Smok Urodzinowy. Błąkał się tu w okolicy jak bezpański pies, więc postanowiłem przyprowadzić go do was.

- Pies, jaki pies? - zaskomlał Łysy Pies wychylając łeb z saksofonu, a zobaczywszy puchatego smoka oniemiał. Ciekawe, jaka to rasa - zdążył pomyśleć, ale wtedy Smok Zygmunta zauważył go i zmarszczył brwi bardzo groźnie. Łysy Pies uśmiechnął się do niego, fałszywie szczerząc zęby i schował się szybko.

Tortowy Smok Urodzinowy stał, przestępując z nogi na nogę, i najwidoczniej bardzo się wstydził. Na szyi miał termos w aksamitnym, żółtym pokrowcu przewiązany czarną aksamitką. Obok termosu, na złotym łańcuszku, wisiał smoczek.

- O, ssak - powiedziała Chenia na widok smoczka.

- Smok - poprawił ją Tortowy. - Tortowy Smok Urodzinowy. Cieszę się, że tu jestem.

Najlepiej wśród swoich.

- Pewnie, pewnie - rozczulił się Antoni. - Siadaj, chłopie, pogadamy. Czemu tak śmiesznie się nazywasz?

- Bo to nie jest moje imię. to jest definicja.

- De... - co?
- Definicja. Definicja tłumaczy, po co coś istnieje i do czego jest używane. Ja jestem używany do urodzin. Albo byłem. A może nigdy nie byłem, a miałem być? Sam nie wiem.
- Może powiedz dokładniej o co chodzi, bo my nic nie rozumiemy - przerwał mu Rysio Kapustnik. Puchaty smok zmarszczył brwi i zaczął tłumaczyć:
- Miałem być takim smokiem, który w dniu urodzin przychodzi do dzieci, żeby ich urodziny były jeszcze bardziej uroczystym dniem. Przynosiłem tort i świece, potem pomagałem dmuchać te świece i urządzałem gry i zabawy. Ale dzieci się mnie bały...
- Bały?!
- Bały! - potwierdził Tortowy.
- Dziwne dzieci - zamyśliła się Żaba.
- Właśnie - przytaknął Smok Zygmunta. - Jak można bać się smoka. Smoki są takie przytulne.
- I miłe - dodał Wincenty.
- I ładne - powiedział Antoni.
- I inteligentne - stwierdził Nowy Średni.
- I kochające - chrypnął Zdzisław.
- Rozsądne - zauważyła Chenia.
- Zarozumiałe i pyskate - przerwała im Żaba ze złością, a z saksofonu rozległ się chichot Łysego Psa. Smoki zamilkły, trochę speszone.
- Po chwili Wincenty Smok powiedział:
- Słuchaj, Tortowy. Ty się tymi dziećmi nie przejmuj. My znajdziemy ci inne. Na pewno na świecie jest dużo dzieci, dla których urodziny bez Tortowego Smoka to nie są żadne urodziny.
- Żadne!!! - wrzasnęły chórem smoki.
- Tortowy się wzruszył. Wydobyl skądś wielki tort urodzinowy i postawił go obok ogniska.
- Potem powiedział łamiącym się ze wzruszenia głosem:
- To teraz jemy. Niech dzieci żałują.
- Niech!!! - wrzasnęły chórem smoki.

## **SCENA DZIESIĄTA**

### **Dowiadujemy się wielu rzeczy o żabich nogach**

- Żaba kupiła sobie białe podkolanówki i pepegi. Włożyła je natychmiast i zaczęła przechadzać się po polanie. Wincenty i Antoni grali w warcaby, ale reszta smoków przyglądała się Żabie uważnie.
- Masz nawet ładne nogi - powiedział Smok Zygmunta.
  - Tylko trochę za krótkie - dorzucił Nowy Średni. Tortowy jadł właśnie ptysia, więc nie mógł nic powiedzieć, bo pysk miał zapchany bitą śmietaną. Za to Zdzisław odchrząknął i chrypnął:
  - Żabie nogi pozostaną na zawsze żabimi nogami, niezależnie od tego w co je ubrać.
  - Sam byś chciał mieć pepegi. Albo trampki. Dlatego tak mówisz, bo mi zazdrościsz. Łatasz na bosaka i masz odciski! - odcięła się Żaba.
  - Pozwólcie - wtrąciła się łagodnie Chenia - że jako najstarsza z was zabiorę głos. Żaba ma rzeczywiście żabie nogi.
  - Żaba spurpurowiała na twarzy i już chciała coś krzyknąć, ale Chenia uciszyła ją machnięciem tylnej lewej nogi.
  - Ale żabie nogi - mówiła dalej - mogą być również bardzo piękne. To zależy od tego, kto na nie patrzy.
  - Ty masz najpiękniejsze nogi na świecie - wykrzyknął Rysio Kapustnik siedzący na liściu pobliskiego krzaka.
  - Mój drogi - zarumieniła się Makrauchenia - zawstydzasz mnie.
  - Do rzeczy! - ryknęła Żaba z irytacją. - O mnie mówiliśmy i jeszcze nie skończyliśmy!
  - Chenia mówiła więc dalej.
  - Ponieważ żabie nogi nie mogą być niczym innym niż są, więc musimy uszyć ci sukienkę, moja kochana Żabo.

- Od kiedy to ja jestem "kochaną Żabą"?

- Od wczoraj.

- Aha. No i co z tą sukienką?

- Będzie to długa wieczorowa suknia. Najlepiej połyskliwa, w kolorze zielonym.

- Ojej, dlaczego zielony? - jęknęła Żaba. - Nie może być inna, czerwona na przykład?

- Nie może - stwierdziła Chenia stanowczo. - Do twojej cery najlepiej pasuje zielony.

- Pewnie - zachichotał Zdzisław. - Ubranie zawsze powinno być dobrane kolorem do cery.

- Nawet się na ciebie nie obrażę - rzekła z godnością Żaba. - Nie będę się zniżać do twojego poziomu.

- Nie kłóćcie się - załagodziła Chenia. - Kochana Żabo, idziemy nad rzekę.

- Po co?

- Tam mieszka mój znajomy Krokodyl. Bardzo pięknie śpiewa, gra na gitarze i deklamuje wiersze. Jest bardzo czytany i wrażliwy.

- Dobra, dobra, ale co to ma wspólnego z moją suknią?

- Taki zdolny Krokodyl potrafi wszystko. On ci uszyje suknię. Albo przynajmniej pomoże wybrać fason i skroić. A uszyć to już potem łatwo.

- Hm... - zamyśliła się Żaba. - A czy on się przypadkiem nie odżywia żabami?

- Tego nie wiem.

- To ja nie idę - stwierdziła stanowczo Żaba.

- Chcesz do końca życia pozostać brzydką Żabą? - zapytała posępnie Chenia.

W żabim sercu rozgorzała zacięta walka pomiędzy kobiecą próżnością a żabią chęcią do życia. Po pełnej napięcia chwili, podczas której smoki i Chenia wpatrywały się w Żabę z oczekiwaniem, zwyciężyła kobieca próżność.

- Pójdę - wysapała Żaba trzęsącym się ze strachu głosem. - Czego się nie robi dla urody.

- Właśnie - poparł ją Smok Zygmunta. - Poza tym, jeżeli Krokodyl cię zje, to wszystkie kłopoty z urodą będziesz miała rozwiązane.

Chenia i Żaba poszły nad rzekę odwiedzić Krokodyla, a smoki zajmowały się dalej tym, czym zwykle o tej porze zajmują się smoki.

## SCENA JEDENASTA

### **Dowiadujemy się, że pierogi ze śliwkami rozwijają zdolności muzyczne u krokodyli**

Krokodyl siedział na skarpie nad rzeką z gitarą opartą o kolano i nucił coś do siebie cichutko. Był to straszny już Krokodyl, trochę siwy, bardzo szczupły, a nawet kościsty. Oczy miał duże, melancholijne, a w pysku bardzo dużo zębów. Chenia i Żaba podeszły do niego. Żaba była sina ze strachu, a żabie nogi odziane w podkolanówki i obute w nowe pepegi trzęsły się i uginały pod nią. Ale dzielnie powiedziała:

- Dzień dobry panu.

Krokodyl kiwnął przyjaźnie głową Makraucheni, a potem przyjrzał się badawczo Żabie.

- Skąd taka ładna Żaba? - zapytał.

Żaba się zakrztusiła, a Chenia powiedziała dobrotliwie, poklepując Żabę po plecach:

- To nasza domowa Żaba. Chcę jej uszyć suknię wieczorową i przyszedłam do ciebie o pomoc.

- Hm... - mruknął Krokodyl, nie odrywając oczu od Żaby. - Ładna żaba. Sino-popielata. Ciekawy kolor. Chyba jakiś rzadki gatunek żaby. No, nic - dodał głośniejszym głosem - uszyjemy tę suknię. Zrobimy z Żaby elegantkę. Ale najpierw, moja śliczna, zaśpiewam ci piosenkę o żabie. Nie o takiej ładnej jak ty, oczywiście.

Żaba była tak oszołomiona pochwałami, że była gotowa wysłuchać stu piosenek o czymkolwiek. Usiadła na trawie obok Cheni, a krokodyl zaczął śpiewać:

W małym lasku blisko rzeki  
zamieszkała żaba,  
raki żaby nie lubiły,  
biada żabie, biada.



Poszła żaba raz na spacer,  
a za żabą raki:  
"wyszczypiemy żabie udka,  
damy się we znaki".

Na to żaba się podparła  
pod żabie bioderka:  
"wyszczypiecie jak złapiecie,  
zabawmy się w berka".

Pobiegały, potupały,  
szybsza była żaba.  
Raki żaby nie złapały,  
żaba była rada.

Teraz raki gdzieś zimuja,  
żaba śpi pod liściem.  
Raki z gry się wycofały,  
rakiem - oczywiście.

- Och, jaka przepiękna piosenka! - jęknęła z zachwytem Żaba. - Prześliczna! Sam ją ułożyłeś?  
- Sam, sam. Słowa też sam napisałem. Po prostu jestem zdolny.  
Krokodyl poprawił strunę w gitarze.  
- Ale skoro tak miłe dziewczyny mnie tu odwiedziły, to zaśpiewam wam jeszcze. Ta piosenka nazywa się "Krokodyle blues". Jest o krokodylach. Posłuchajcie:

Gdybym ja był krokodylem,  
nie chciałbym mieszkać gdzieś nad Nilem,  
wolałbym leżeć na kanapie,  
patrzeć jak łza za łzą mi kapie,  
krokodyle blues, krokodyle blues.

Leży krokodyl na kanapie,  
na błękitno-czarnej kapie,  
płacze i płacze, przez nos sapie,  
krokodyle blues.

Taki już psi los krokodyla,  
do płaczu dobra każda chwila,  
kiedy nad Nilem się pochyla,  
krokodyle blues.

Gdybym ja był krokodylem,  
nie chciałbym mieszkać gdzieś nad Nilem,  
wolałbym leżeć na kanapie,  
patrzeć jak łza za łzą mi kapie,  
krokodyle blues, krokodyle blues.

- Zaraz, Krokodylu - zaprotestowała Chenia. - Dlaczego śpiewasz "gdybym ja był krokodylem"? Przecież nim jesteś.  
- Bo to jest śpiewane w trzeciej osobie.  
- Nie, w pierwszej osobie.  
- Nie upieraj się, moja droga - zmarszczył brwi Krokodyl.  
- Pierwszą osobą jestem ja. A każdy, kto nie jest krokodylem, a chciałby nim być, jest trzecią osobą.

- Niech ci będzie. Czy zaśpiewasz coś jeszcze?
  - Nie, bo zachrypnę. Muszę zrobić przerwę i napić się kawy ze śmietanką. A potem obiad
  - tu Krokodyl spojrzął na Żabę. Żaba natychmiast zrobiła się znów popielato-sina ze strachu i skuliła się w mały kłębuszek.
  - Czy zjesz ze mną obiad? - zapytał Krokodyl.
- Żabie zimny pot wystąpił na czoło. Trzęsącym się głosem zapytała:
- A co będziemy jedli?
  - Pierogi.
  - Z czym? - dopytywała się dalej Żaba, bliska już omdlenia.
  - Ze śliwkami, czyli knedle. Lubisz?
  - Bardzo lubię. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo. Od dziś będzie to moje ulubione danie.
- Chenia powiedziała trochę urażonym głosem:
- Makrauchenie również lubią knedle.
  - To też będą jadły - roześmiał się Krokodyl. - Niech się uspokoją. Starczy dla wszystkich.

## **SCENA DWUNASTA**

### **O rozwiązywaniu bardzo ważnych problemów za pomocą nauszników z owczej wełny**

W tydzień później Krokodyl przybiegł na polanę dźwigając w ramionach wielkie pudło. Postawił pudło na trawie, usiadł obok niego i krzyknął:

- Żaba, do mnie!

Żaba podbiegła w podskokach i kucnęła obok. Krokodyl wyjął z pudła czerwoną, aksamitną sukienkę. Sukienka była długa, z bufkami, obszyta u dołu złotą nitką. Żaba oniemiała z zachwytu.

- Krokodylu - jęknęła - skąd wiedziałeś, że czerwony to mój ulubiony kolor?

- Męska intuicja oraz zdolność wczuwania się w żabią psychikę - odparł skromnie Krokodyl.

Żaba chwyciła sukienkę drżącymi łapkami i pobiegła przebrać się za pobliskim krzakiem. Kiedy po dłuższej chwili wyszła zza krzaka, nawet smoki znieruchomiały z wrażenia. Nie padła ani jedna zgryźliwa uwaga. Żaba naprawdę wyglądała bardzo ładnie.

- Widzicie - powiedziała Chenia z dumą do smoków. - Każda kobieta może być interesująca, jeśli zechce. A jak wy wyglądacie? - Chenia spojrzała na smoki badawczo. - Antoni i Wincenty mają brudne włosy.

- My nie mamy włosów! - zaprotestowały smoki.

- Ale są brudne! - ciągnęła nieubłaganie Chenia. - Nowy Średni ma piach na pysku.

Chyba się dziś w ogóle nie myłeś! Smok Zygmunta ma pomiętą kokardkę, a Zdzisław obgryza paznokcie u nóg.

- Żaba też obgryza paznokcie! - warknął Zdzisław.

- I dobrze - broniła Żaby Makrauchenia. - Żaby nie mają paznokci, więc nasza Żaba też ich nie chce mieć. Natomiast smok z poobgryzаныmi paznokciami u nóg wygląda śmiesznie.

Krokodyl pomyślał, że za chwilę wybuchnie kłótnia. Żeby temu zapobiec, nachylił się szybko do pudła i wyciągnął z niego siedem par nauszników.

- A to są nauszniki dla smoków i dla Cheni. Z owczej wełny - powiedział, podając smokom nauszniki.

Smoki pisnęły z radości i zaczęły przymierzać. Krokodyl sięgnął po gitarę i zaśpiewał piosenkę o owczej wełnie i nausznikach:

Na manowcach  
skaczą owce,  
rubicami przytupują,  
wełnę z grzbietów wyczesują,  
za baranem galopują,  
owczy żywot nasz.

Owce mają miękką gębę,  
leca, gonia owczym pędem,  
Owczym pędem  
za wielbłądem,  
a baran zły -  
szczyrzy kły.

Baran ma rogi,  
lubi pierogi,  
lubi rybę w galarecie,  
owce drapia go po grzbiecie,  
z wełny plotą ecie-pecie,  
owczy żywot nasz.

Lecą owce  
na manowce  
lubią nosić nauszники,  
grube czapy i szaliki,  
i wełniane naszyjniki,  
owczy żywot nasz.

W swoim domu,  
po kryjomu,  
zrobmy owcy legowisko,  
wyczesujmy z owcy wełnę,  
wtedy szafy wełny pełne,  
owczy żywot nasz.

Owce mają miękką gębę,  
leca, gonia owczym pędem,  
owczym pędem  
za wielbłądem,  
a baran zły -  
szczyrzy kły.

Ostatnią zwrotkę wszyscy zaśpiewali razem, skacząc wokół ogniska. Usłyszawszy ten hałas, Łysy Pies wysunął łeb z saksofonu i zobaczywszy, co się dzieje, zaczął prosić:

- A ja? Ja nie dostanę nauszników?

Smok Zygmunta spojrzał na niego.

- Po co Łyseму Psu nauszniki? - spytał.

- Jak to po co? - jęczał Pies - Żebyś wiedział, jakie w tym saksofonie są przeciągi.

Dostanę zapalenia uszu i co wtedy zrobisz?

- Nic. Będę grał muzykę bez ciebie.

- To ci się tylko tak wydaje. Muzyka beze mnie, to nie muzyka. Poza tym ani motyle, ani myszy, ani Fioletowy Kocur nie zechcą robić hałasu w obecności chorego. A ja będę leżał i jęczał.

- Wiesz co?!! - krzyknął z oburzeniem Smok Zygmunta. - Ja mam ciebie dosyć, powyżej uszu!!!

Wszyscy spojrzeli powyżej jego uszu, ale nic nie zobaczyli.

- Sprawię sobie nowego psa! - krzyczał dalej Smok Zygmunta. - Ty jesteś taki marudny, że wytrzymać z tobą nie można! Już cię tu nie ma!!! - Smok Zygmunta chwycił Łysego Psa za kark i wyciągnął go z saksofonu.

Fioletowy Kocur wyrzucił z saksofonu i powiedział do Łysego Psa:

- No, kolego, doigrałeś się.

Pies nie odpowiedział. Usiadł przy ognisku obok Żaby i wpatrywał się ponuro w ogień.

- Co teraz zrobisz? - zapytał Antoni Smoka Zygmunta.

- Kupię sobie nowego psa. Musimy się zastanowić, jaka rasa jest grzeczna i nie marudzi.  
- Każda rasa, która nie siedzi w saksofonie - burknął Łysy Pies, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.  
- Wyżeł niskopienny - odpowiedział Wincenty.  
- Co to takiego?  
- No, wyżeł. Tylko bardzo mały. Nisko się pnie.  
- Jak bluszcz - dorzucił Zdzisław wyjaśniająco.  
Smok Zygmunta zamyslił się.  
- Wyżyły są mało muzykalne. Trzeba znaleźć coś innego.  
- Może jamnik tropikalny? - spytał Nowy Średni.  
- Nie.  
- A może...  
- Nie, nie - przerwał Smok Zygmunta i zaczął myśleć.  
Kiedy skończył, powiedział:  
- Chyba rzeczywiście będzie prościej i taniej dać Łysemu Psu nauszniki. To prawda, że charakter ma paskudny, ale jest muzykalny, no i tyle lat już razem pracujemy.  
- Łysy Pies udawał, że nie słyszy, chociaż oczka mu rozbłyły, gdy usłyszał o nausznikach. Smok Zygmunta ściągnął z głowy nauszniki i podchodząc do Psa od tyłu, włożył mu je na łeb.  
- Lepiej ci teraz? - warknął.  
Łysy Pies podniósł na niego wierne psie oczy i powiedział:  
- Zawsze uważałem, że jesteś lepszy, niż wszyscy myślą.  
Smok Zygmunta zbulgotał, ale Łysy Pies nie czekając na nic skoczył na łapy i pognał do saksofonu.  
- Będę chyba musiał zrobić więcej nauszników. Takie przykre sceny nie powinny mieć miejsca na waszej polanie - zauważył Krokodyl.  
- Ja tam nauszników nie potrzebuję - pisnęła Żaba. - Zresztą i tak by nie pasowały do mojej pięknej, nowej sukienki, którą uszył dla mnie najukochańszy krokodyl na świecie.

## **SCENA TRZYNASTA**

### **W poszukiwaniu тумana**

Rysio Kapustnik przyleciał na polanę o szóstej rano i usiadł na nosie śpiącej Makraucheni. Przez chwilę wpatrywał się w nią z czułością, a potem zawołał półgłosem.  
- Chenia, Cheniutka! Obudź się!  
Chenia otworzyła aksamitne oczy.  
- Zejdź z mego nosa natychmiast, bo dostanę zeza.  
Rysio zeskoczył na trawę obok niej, a Chenia, przeciągając się i ziewając, usiadła.  
- Dlaczego mnie tak wcześniej obudziłeś? Co się stało?  
- Cheniu, przyszło mi na myśl, żebyśmy wszyscy wybrali się na wycieczkę. Meczu piłki nożnej na pewno na razie nie będzie, bo okolica jest wyludniona, to znaczy wysmoczona. Trzeba by pomaszerować gdzieś dalej, na przykład do Krakowa. Tam kiedyś żył smok. Może znajdziemy ich więcej.  
- Ja tam uważam, że sześć smoków w zupełności wystarczy. Po jednym smoku na każdy dzień tygodnia, a w niedzielę odpoczynek. Trzeba zachować umiar. Ale na wycieczkę możemy iść. - Chenia zwróciła się w stronę głęboko uspionych smoków i ryknęła:  
- Chłopaki!!!  
Smoki poderwały się przerażone.  
- Ojej, o rety, co się stało!? - Tortowemu różowe futro falowało ze strachu, a Zdzisław dostał czkawki.  
- Nic się nie stało. Idziemy do Krakowa - odparła ze spokojem Chenia.  
Wincenty zainteresował się wyraźnie.  
- Tam jest Smocza Jama! Mieszkał w niej kiedyś bardzo niesympatyczny smok. Mój ojciec znał go ze szkoły. Ten smok był gburowaty i zawsze ściągał na klasówkach. Taki był tuman, że nic nie umiał. A jak skończył szkołę, na samych trójkach z minusem, oczywiście, to przeniósł się do Krakowa i zaczął jeść ludzi.



- I co się z nim stało? - spytał Tortowy.
- Ktoś mu podłożył skórę owcy wypchaną siarką i smołą, i czymś tam jeszcze, a on to zjadł i zdechł.
- Ale tuman! Że też się dał nabrać na taki stary numer. Przecież każdy wie ze szkoły, że skóra owcy leżąca przypadkiem przy drodze, to coś podejrzanego - zawołał Smok Zygmunta.
- No tak - wyjaśnił Wincenty - ale on pewnie był na wagarach, kiedy o tym mówili.
- Tuman - stwierdziły smoki chórem i wyruszyły do Krakowa. Żaba nie poszła. Nie chciała zostawić Krokodyla samego, a Krokodyl nie mógł pójść, bo krokodylę łapy za krótkie są na tak długie wycieczki.

## **SCENA CZTERNASTA**

### **Dowiadujemy się, że smok jest zwierzęciem domowym**

Nie było ich dziesięć dni. Krokodyl i Żaba spotykali się codziennie po południu i zastanawiali się, co też smokom mogło przytrafić się w drodze, jaki jest Kraków i czy wszystko się udało.

- Mogliby już wrócić - westchnęła pewnego dnia Żaba.
- Pewnie - zgodził się Krokodyl, który siedział obok niej przy ognisku i brzdąkał na gitarze.
- Nawet zupa ogórkowa przestała mi smakować - wzdychała Żaba ze smutkiem.
- Może zaśpiewać ci piosenkę na rozweselenie?
- Sama nie wiem... A jaką?
- A jaką chcesz? Może być "Kaczka cza-cza" albo "Smok-rock", albo...
- "Smok-rock" - zdecydowała Żaba.

Krokodyl zaśpiewał:

Smokom się wydaje  
że są takie kraje,

że co krok smok,  
smok-rock.

Na wielkiej łące,  
smoków tysiące,  
przy smoku smok,  
smok-rock.

Gdzie się nie zwrócisz,  
tam smok coś nuci,  
słyszysz smoka krok,  
smok-rock

W tym momencie oboje usłyszeli smoczy krok w pobliskich krzakach.

- Idą!!! - krzyknęła Żaba i pobiegli smokom na spotkanie.
- Smoki wyglądały strasznie. Były wychudłe, zakurzone i zmęczone. Makrauchenia miała zwichniętą nogę, Rysio postrzępione lewe skrzydełko, a Nowy Średni katar. Tortowy Smok Urodzinowy był szary, a futro miał posklejane w strączki i powycierane do gołej skóry na łokciach i kolanach.
- Gdzie wyście byli?! - jęknęła Żaba z rozpaczą. - Na bitwie czy na wycieczce?
- Dokładnie jeszcze nie wiemy - sapnął Smok Zygmunta, zdejmując z ramienia saksofon
- ale mam pewne podejrzenie, że byliśmy w piekle.
- No, nie, denerwuj się - uspokajała go Żaba, zawieszając nad ogniskiem kociołek z zupą ogórkową. - Stamtąd to byście tak szybko nie wrócili. Zaraz podgrzeję zupę. Musicie najpierw coś zjeść.

Kiedy smoki zjadły zupę i odpoczęły trochę, Żaba zrobiła herbatę i przyniosła dropsy i karmelki na deser.

- Wszystko zaczęło się od tego, że nikt z nas nie wiedział, gdzie jest Kraków - zaczęła opowiadać Chenia. - Ponieważ pomysł był Rysia, więc uznaliśmy, że Rysio wie. Rysio leciał prosto przed siebie, myśmy szli prosto za nim i nikomu do głowy nie przyszło, żeby zapytać dokąd idziemy.

- A po co mieliśmy pytać? Przecież każdy wiedział, że idziemy do Krakowa - wtrącił się Tortowy.

- No, tak. Więc szliśmy tak i szliśmy. A potem znowu szliśmy, i jeszcze trochę szliśmy. A potem szliśmy...

- Czy mogłabyś opowiadać z większymi skrótami? - zapytał zjadliwie Nowy Średni. - Przecież szliśmy przez dziesięć dni. Opowieść powinna być choć trochę krótsza.

- I szliśmy, aż ja wpadłam w jakąś dziurę i zwichnęłam nogę. Wtedy zapytałam: czy daleko jeszcze do tego Krakowa, bo boję się, że nie dojdę. I wtedy Rysio odpowiedział: nie wiem. A nam wszystkim zrobiło się strasznie. Futro nam zjeżyło się na grzbietach ze strachu i zrozumieliśmy, że zabłądziliśmy - Chenia umilkła, a zaczął opowiadać Zdzisław.

- Pomyśleliśmy, że już nigdy nie dojdziemy do Krakowa, bo nie wiemy, gdzie on jest. A potem pomyśleliśmy, że nigdy nie trafimy z powrotem na polanę, bo nie zostawialiśmy po drodze żadnych znaków rozpoznawczych. W końcu pomyśleliśmy, że będziemy musieli zostać koczowniczymi smokami i wędrować po świecie do końca życia. I wtedy zaczęliśmy płakać, bo smocze życie jest takie długie, a Chenia ma już paręnaście milionów lat, choć wcale na to nie wygląda.

- Straszne - szepnęła Żaba, a smoki ponownie się rozplakali.

- A potem - mówił Zdzisław przez łzy - Nowy Średni dostał kataru i obawialiśmy się, że umrze.

- Zaraz, zaraz - przerwała mu Żaba - nie słyszałam, żeby od kataru ktoś umarł.

- Ale on mówił, że się tak czuje, jakby umierał. Trzeba mu było wierzyć. Jeśli tak mówił, to pewnie tak się czuł.

- Czuję się tak, jakbym umierał albo jeszcze gorzej - powiedział Nowy, wycierając nos.

- Miałem również gorączkę.

- Mierzyłeś?

- Nie musiałem wcale mierzyć. Oczy mi błyszczały i dostałem wypieków na twarzy. Ja nigdy nie mam wypieków, chyba że jestem umierający.

- A co było dalej? - zapytał Krokodyl.

- Dalej był krzak głogu, wokół którego rosły osty. Rysio wpadł w te osty i postrzępił sobie skrzydło.

- Jak ja teraz wyglądam?! - jęknął Rysio z rozpaczą - jak łachmaniarz! Jak ja będę występował. Artysta w łachmanach! O rety!

- Nie rozpaczaj - uspokoił go Krokodyl. - Zacerujemy białą nitką i nic nie będzie widać.

- Przez cały ten czas - mówił dalej Zdzisław - prawie nic nie jedliśmy, bo chcieliśmy szybciej dojść do Krakowa i tam zjeść. Słońce prażyło, kurz unosił się nad drogą i zatykał nam nosy i uszy. Nie mieliśmy nic do picia.

Żaba się trochę zirytowała:

- Chwileczkę. Opowiadasz tak, jakbyście byli na pustyni. Nie było rzeki? Nie było ludzi? Nie mogliście spytać kogoś o drogę?

- Rzeka była. Ludzi nie było, bo uciekli. Tylko jedno dziecko nie uciekło i chciało się z nami bawić, ale nie mogliśmy spytać je o drogę, bo jeszcze nie umiało mówić. Więc - zakończył Zdzisław - zdecydowaliśmy się wrócić.

- Nie mogliście zdecydować się na powrót szybciej? - denerwowała się Żaba - po co wam był ten cały Kraków?! Żeby zobaczyć jamę jakiegoś tumana?

- No, już tak nie mów. W końcu nawet mu pomnik wystawili. Coś musiał być wart.

- Nic nie był wart - powiedziała stanowczo Żaba, wkładając do pyska dropsa. - Pomnik wystawili dlatego, że nigdy nie widzieli porządnego smoka. Jakby was zobaczyli...

- To by uciekli i tyle - przerwał jej Wincenty. - A my się nie nadajemy na żadne wycieczki. Z charakteru jesteśmy domowe smoki. Powinniśmy siedzieć na polanie i koniec. Podróżować nam się zachciało!

- Ale mecz? Chcieliśmy przecież poszukać smoków - zauważył Antoni.
- Więcej smoków na razie nie ma, więc meczu też nie będzie. Możemy grać w tenisa albo podnosić ciężary.
- To nie to samo - westchnął Smok Zygmunta.
- Pewnie, że nie to samo - zgodził się Wincenty. - Ale tenis nie jest taki zły. Krokodyl robi nam rakiety, a w charakterze piłki będziemy używać Żaby. Chi, chi, chi - smoki wybuchnęły śmiechem.
- Zaczyna się - pomyślała z goryczą Żaba - i po co ja tak tęskniłam za tymi potworami?

## SCENA PIĘTNASTA

### i ostatnia

Nadeszła jesień. Liście pożółkły i poczerwieniały, a wiele opadło już na ziemię. Noce były chłodne. Smoki marzły. Żaba i Chenia spały blisko siebie, przytulone, żeby ogrzewać się wzajemnie. Niewiele to pomagało, tak jak i nauszniki okazywały się niewystarczające. Smoki schudły i straciły humor. We wtorek Wincenty wstał bardzo zły i skierował się w stronę lasu, nie mówiąc ani słowa.

- Dokąd idziesz? - zapytała Żaba.
- Idę na żer - warknął Wincenty.
- Kociołek z zupą ogórkową jest na polanie, a nie w lesie.
- Dostyc mam tej zupy ogórkowej! - wybuchnął Wincenty. - Dostyc mam polany! Ciebie też mam dostyc! Idę na żer do lasu. W lesie jest ciepło i nie ma żab!
- Żaba spurpurowiała na twarzy. Podciągnęła podkolanówki, a potem pobiegła pod krzak i schowała się w liściach. Chenia spojrzała na Wincentego z niezadowoleniem.
- Obraziłeś Żabę zupełnie niepotrzebnie. Bo mnie się wydaje, że ty masz dość tylko jednej rzeczy, a mianowicie jesieni. Jest ci zimno i ponuro, więc sam jesteś ponury.
- Masz rację - westchnął Wincenty i poszedł do krzaka, wygrzebał z liści Żabę i posadził ją sobie na głowie. Potem usiadł przy ognisku.
- Musimy, Cheniu, coś wymyślić. Nie przetrzymamy jesieni i zimy na tej polanie.
- Czy smok jest zwierzęciem zimującym? - spytała Chenia.
- Pewnie - odparł Wincenty. - Przeżyłem już tyle zim.
- Nie, nie, nie o to mi chodzi. Czy smok chowa się na zimę w jakiejś ciepłej norze i śpi aż do wiosny?
- To można tak zrobić? - zdziwił się Wincenty.
- Można. Jest to bardzo miłe zajęcie dla osoby zimującej, ale jeszcze miłsze dla wszystkich pozostałych, bo nie muszą być narażone na zły humor kogoś takiego.
- Żaba, siedząca na głowie Wincentego, przysłuchiwała się z uwagą ich rozmowie. Pomyślała, że takie zimowanie musi być naprawdę czymś wspaniałym. Och - pomyślała - nic tylko jeść i spać przez całą zimę. Na miękkich liściach.
- Po obiedzie wszystkie smoki oraz motyle wzięły udział w rozmowie. Dyskusja była długa i zażarta.
- Nie ma takich dużych nor - denerwował się Smok Zygmunta.
- Wprawdzie schudliśmy, ale i tak nigdzie nie pomieścimy się wszyscy razem.
- Każdy może mieć swoją norę - powiedział Zdzisław.
- E, tam. Nudno będzie - sprzeciwił się Smok Zygmunta.
- Komu bym grał na saksofonie? Koncert bez publiczności jest nudny.
- My się zmieścimy - powiedział Rysio w imieniu motyli.
- Wy się nie liczcie. Każdy liść to dla was namiot. Ale co my mamy robić? - niepokoił się Antoni.
- Wiecie co? - odezwała się Chenia w zamyśleniu. - Ja wprawdzie bardzo nie lubię jaskiń, ale wydaje mi się, że w waszym towarzystwie mogłabym spędzić w jakiejś jaskini jedną zimę.
- Cheniu! Jesteś genialna! - krzyknął Zdzisław.
- Dopiero teraz to zauważyłeś?
- I zarozumiała - dodał Zdzisław.

- Cóż - odparła Chenia - mogę chyba mieć jedną wadę.

Następnego dnia rano wszyscy rzucili się na poszukiwanie jaskini, oczywiście bez skutku. Dopiero po tygodniu szukania znaleźli średniej wielkości jaskinię, która jednak była na tyle obszerna, aby pomieścić ich wszystkich.

- Mam nadzieję, że tu nie ma pajaków - grymasiła Żaba rozglądając się wkoło.

- A co ci pajak przeszkadza? - wzruszył ramionami Nowy Średni.

- Wyobraź sobie po prostu, że to jest taki motyl bez skrzydeł.

- Wypraszam sobie podobne porównania - powiedział z oburzeniem Rysio Kapustnik.

- Chi, chi - przerwała Chenia - musimy jaskinię porządnie wysprzątać, wstawić do kąta balię z wodą dla Krokodyla i Żaby, i nazbierać dużo suchych liści dla nas na posłania.

Więc zamiast mleć ozorami, bierzcie się do roboty - rozkazała.

Powiedziawszy to, Chenia usiadła w kącie jaskini i oparła się wygodnie o skałę.

- A ty?! - oburzyły się smoki.

- Ja jestem za stara do takich ciężkich prac. I tak już od dawna powinnam być na emeryturze. Mogę wam natomiast śpiewać, żeby wam nie było nudno przy pracy.

- Daruj sobie. Tego byśmy chyba nie znieśli - przygadał jej Nowy Średni i smoki wzięły się do pracy. Pracowały bardzo ciężko przez cały dzień, a Chenia spała w kącie jaskini.

Ale za to pod wieczór jaskinia wyglądała jak pałac. Podłoga, wysprządana z kamieni, posypana była drobnym, białym pisakiem. Na nim leżało osiem posłań z suchych liści, mchu i igliwia. Z prawej strony stała balia wypełniona czystą wodą. Na półkach skalnych smoki poustawiały termosy i pozapalały świece. Saksofon miał osobną półkę, o wiele szerszą i dłuższą od innych, bo Łysy Pies i Fioletowy Kocur zbuntowali się jednocześnie i oświadczyli, że w saksofonie spać nie będą. Leżeli teraz obok saksofonu z wyciągniętymi łapami, a Krokodyl siedział w kącie i robił im na szydełku wełnianą kołderkę.

Z lewej strony, wbita w szczelinę skalną, sterczała gałąź, na której pozawieszane były hamaki. W hamakach leżały motyle. Hamaki, oczywiście, zrobił im Krokodyl na szydełku. Późnym wieczorem Krokodyl skończył robić kołderkę i nakrył nią Psa i Kocura. Obaj westchnęli z rozkoszą i natychmiast zapadli w głęboki, jaskiniowy sen.

Krokodyl wskoczył do balii, rozchlapując wodę.

- Ojej - pisnęła Żaba - zmoczysz mi piżamę!

Leżała już na swoim posłaniu w niebieskiej, flanelowej piżamie w żółte groszki.

Smoki również poukładały się na swoich posłaniach. Były bardzo zmęczone.

- Ojej, jak wspaniale - przeciągnął się z rozkoszą Wincenty.

Zdzisław chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo zaczął ziewać. Z hamaków dochodziło chrapanie. Chenia spała na lewym boku, ryjkiem do ściany i nic nie słyszała.

Smoki zasypiały.

- Zgaście już świecę - powiedziała sennym głosem Żaba.

Antoni puścił nosem kłębek czarnego dymu i świeca zgasła. Rozpoczęło się smocze zimowanie.



